

Miroslaw Filiciak

Instytut Kulturoznawstwa
Uniwersytet HumanistycznoSpołeczny SWPS

Wspominając profesor Annę Zeidler-Janiszewską, trudno oddzielić sprawy naukowe od kontaktów prywatnych – bo nie poznałem i zapewne nigdy już nie poznam nikogo, kto tak bardzo jak ona żyłby nauką. Trudno oddzielić te sfery także dlatego, że autorytet Anki brał się nie tylko z treści jej tekstów czy wystąpień konferencyjnych, lecz w równej mierze z tego, kim dla środowiska naukowego była jako wychowawczyni kolejnych pokoleń kulturoznawczyń i kulturoznawców. Była przecież osobą o imponujących horyzontach intelektualnych, ale też po prostu człowiekiem, na którego życzliwość i wsparcie zawsze można było liczyć. Cierpliwą i przychylną komentatorką tekstów, których wydruki wracały zresztą z mimochodem zrobioną redakcją. Kulturoznawczą instytucją, która swojej pozycji nigdy nie nadużywała i której na sercu zawsze leżało dobro innych, zwłaszcza młodych badaczek i badaczy. Do ostatnich dni życia.

Pisząc to wszystko, jestem w kłopotcie, bo wiem, że nie znosiła patosu i sentymentalizmu, od których trudno jest mi tutaj uciec. Nie chciałbym też dowartościowywać siebie tym, że przez ostatnich kilkanaście lat miałem przywilej znać ją i z nią współpracować – bo wiele było w tym przypadku, trafiając na SWPS zostałem po prostu jej kolegą z pracy. Ale nie chcę całkiem porzucić tego osobistego tonu, bo ona dla mnie była kimś znacznie więcej. Mam też pewność, że taką relację miały z nią dziesiątki osób – pewność potwierdzoną niezliczoną ilością rozmów o pustce, którą przyniosło jej odejście. Stąd „ja” będzie się tutaj mieszać z „my”, bo wiem, że moją perspektywę podziela wiele osób, także tych, które z oczywistych względów nie mogą pożegnać jej na tych łamach.

Była strażniczką polskich kulturoznawczych tradycji – zawsze podkreślała, jaki wpływ wywarł na nią prof. Jerzy Kmita, ale też koleżanki i koledzy z różnych środowisk, z którymi współpracowała: poznańskiego, łódzkiego, wrocławskiego, krakowskiego... A równocześnie udawało jej się ten szacunek dla korzeni łączyć z otwarciem na wszystko, co nowe. Zapewne dlatego tak doskonale dogadywała się z doktorantami, którzy widzieli w niej nie tylko mistrzynię, ale także osobę po prostu zaciekawioną światem i różnymi sposobami refleksji nad nim. Kibicowała poszukiwaniom nowych formuł dla kulturoznawstwa, które pomogłyby naszej dyscyplinie zachować sprawczość w zmieniającym się świecie. Nieustannie pozostawała bowiem krytyczną obserwatorką rzeczywistości – jak sama ją określała, coraz bardziej smętnej. W rozmowach o polityce zawsze jednak przypominała o naszej odpowiedzialności, stawiając pytanie, jaką rolę we współczesnym świecie biorą na siebie nasi studenci.

Wprowadzała istotne idee – dla środowiska Uniwersytetu SWPS ważne było seminarium poświęcone Mieke Bal, które prowadziła z Wojtkiem Bursztą, ale też seminaria z prof. Zygmuntom Baumanem czy refleksja nad kulturoznawstwem jako projektem transdyscyplinarnym. Oczywiście ta lista była znacznie dłuższa: postmodernizm, studia miejskie, pamięciologia, studia nad obrazem... Nigdy jednak żadnego z tych tematów nie zawłaszczwała, nie monopolizowała; wydaje się wręcz, że jej głównym celem było właśnie inspirowanie innych. Jeszcze w maju mieliśmy na wydziałowym seminarium doktoranckim wspólne wystąpienie *Nauka jako forma (dziełzina) kultury*. Widziała w tym projekcie i w zaledwie rozpoczętym tekście jedną z możliwości rozwoju kulturoznawstwa jako pośrednika pomiędzy innymi dyscyplinami. Kulturoznawcze badania nad nauką, które widziała jako historię teorii nauki, kładły nacisk na świadomość metodologiczną kultur badawczych. Miało to osadzić kulturoznawstwo w roli tłumacza mediującego między tradycjami badawczymi, ale chodziło również o to, by wzmocnić krytyczne ostrze wymierzone w naiwne postrzeganie nauk przyrodniczych jako dyscyplin wolnych od spekulacji i otwartości na interpretację. Dziś myślę o tym jednak przede wszystkim przez pryzmat jej sposobu działania, w którym teoria była narzędziem do łączenia idei i środowisk. Wydobywania tego, co marginalizowane, szukania rozwiązań na przecięciu paradygmatów i metodologii. Przecież jej życie naukowe to właśnie historia takiego pośrednictwa.

W kontaktach z nią często mieliśmy poczucie pewnej dysproporcji, zawsze łagodne jej sposobem bycia i taktem. Pomimo oczywistej asymetrii w poziomie wiedzy sprawiała jednak, że czuliśmy się jej partnerami. Delikatnie punktowała uproszczenia, podpowiadała nowe tropy i lektury. Trochę nas pilnowała, ale także motywowała – a upomnienie czy prośba Anny miały swoją wagę. Dziś też mam poczucie dysproporcji i nieadekwatności wynikające z tego, że ważnych rozmów telefonicznych nie będzie można znaleźć w bibliotece ani zadać studentom, że prace, które po sobie pozostawiła, nie oddają w pełni tego, kim była dla środowiska kulturoznawczego. Może to jej kolejna lekcja dla nas? Bo myśląc o prof. Zeidler-Janiszewskiej, zastanawiam się, jak powinny wyglądać idealne proporcje pomiędzy pielęgnowaniem własnego dorobku naukowego a doradzaniem innym. Między refleksją nad wybranym obszarem badawczym a próbą zrozumienia świata. Pisaniem a czytaniem. Byciem dla innych a byciem dla siebie. Teraz odpowiedzi na te pytania będziemy musieli szukać sami.

Kiedy jasne stawało się, jak poważna jest jej choroba, zacząłem rozumieć, jak bardzo się u niej przez te lata zadłużyliśmy. Łapię się na tym, że w każdej trudnej sprawie, gdy nie wiadomo było, co zrobić – nieważne, czy chodziło o tekst, czy o akademickie procedury – zawsze pozostawała odpowiedź: „Trzeba zapytać Anki”. Teraz to już niestety niemożliwe. Przyszła kolej, by spłacać dług. Jesteśmy jej to winni.